

BEM

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

16

VIII.

Było już dobrze po północy, gdy pułkownik opuścił gościnne progi dworku pani Anny. Lecząc, żeby nie wozy amunicyjne, które dudniły ulicami, dźwigając już żywność w stronę Pragi, nie wypomnił by nawet późnej godziny. I cóż mu było do godziny! Czuł się pokrzepionym, zadufanym, wniebowziętym. Toć nie śnił nawet, że na świecie spotka istotę tak czarującą, dobrą a tak mu przyjazną! Łamał się w sobie, utyskiwał, jęczał, błakał się, poddawał desperacji prawie dla, dla... byle kogo! — A tu przypadek, uśmiech losu może, stawił go oko w oko z kobietą, która już nie wdzwiekami ciała ale i serca i duszy podniosłej jaśnieje! I nie dość na tem, że widzi ją, ogląda, podziwia, ale najduje tyle dla się uprzejmości, tyle uwagi, tyle, tyle wyraźnego sentymentu, żeć jeno do wyciągającego doń ramiona szczęścia się skłonić, żeć jeno mu się pozwolić.

Bem spojrzał w głąb słabo oświetlonej bramy wielkiego domostwa, które mijał i wzdrygnął się. Był to pałac Chodkiewiczów i wejście do kawiarni Honoratki.

Pułkownika zdjął pusty śmiech. Toć jeszcze wczoraj tu, w tej norze karczemnej, szukał wzajemności, gmachowi rodzinnego życia tu budował świątynię. Opatrzność go ustrzegła, ocaliła. I cóż by go czekało? — Dźwignął by Honoratę, podniósł, ukształcił? Raczej sam by może upadł. Nie dość miłować samemu, trzeba być miłowanym i trzeba rozumieć się, trzeba wzajem się dopełniać!

A choćby i dwie tak różne urody zestawić i w tem nie trudny wybór. Honoratka jest jak stary, odurzający napój. Nęci, tumani, grzeje, ale i obrzask sprawuje i pali w gardle i nikczemny swój wypomina rodowód. Pani Marchocka jest jak lilja. Szlachetna, wdzięczna w każdym poruszeniu, w każdym drgnięciu swej pięknej, delikatnej twarzy. Tu natrętne, roziskrzzone, wyzywające spojrzenie bachantki, a tu lazur nieba. A przy tem, co za postawa, co za pośmięłość kibici! O głowę jest wyższą od niego. Honoratka do ramienia jej nie sięga!

Pułkownik tak był temi myślami rozkołysany, że hynajmniej nie zastanowił go osobliwy o tej porze rozruch, którym go powitała sień zamieszkiwanej przezeń kamieniczki. Dopiero, kiedy na pięterku powiła go imię pan Brukalski wykrzyknikiem.

— Chryste Panie! A toż chyba Duch conajświętszy pułkownika dobrodzieja sprowadza! Bem spostrzegł, że wraz z właścicielem kamieniczki coś z dziesiątek pstrokatego ludu tłoczyło się a rozprawiło w otwartych drzwiach, wiodących do jego własnych komnatek.

Pułkownik nie zdołał słowa wymówić, gdy już nań posypały się ze wszech stron relacje.

— Łotrzyk! — Złodziej! — Zamek wyrwany! — Pani Dzikowska słyszała stapanie jakby dwojga osób, ale cóż, nie śmiała penetrować. — Pan Marcin także słyszał, lecz myślał, że sam pułkownik! — Nikomu do głowy, że chudotę pułkownika rabują! — Niegodziwiec! — Musi zwyczajny kamieniczki. — Tałatajstwa rozmaitego teraz! — Kara Boska takiego nie minie! Jużci, ale do ratusza też nie zawadzi!

Aż gdy nareszcie Bem wyrwał się zgietkliwemu następczaniu się sąsiadów a przebiegł zbrobowane swe izdebki, imię pan Brukalski sztucznie wspomniawszy, jako prawdziwą usługę oddał Bemowi, że właśnie z czynszem się przypomniał, bo niecnota więcej by się obłowił, — do sedna przypadku się dobrał.

— Łomotanie okrutne do drzwi budzi mnie, pułkowniku dobrodzieju. — Co to? — Kto? — Rozkaz Rządu narodowego do pułkownika Bema! — Na pięterko, mówię, i pierwsze drzwi! Ledwie się znów uciszyło, znów łomotanie! — Jeszcze zawziętsze! — Tak ja do pana Marcina. Kołaczę przez ścianę. — Pan Marcin do pani Dzikowskiej i każdy ze swej stancyjki. — Co to? — Kto! — Rozkaz Rządu narodowego! — A pani Dzikowska lamentuje — rety, na pospolite ruszenie chcą brać! — My znów do tego a on znów: pułkownika Bema! — Wodzim się, że na piętrze albo w obozie! — Mówi, wraca z Pragi a na piętrze drzwi otwarte! A że akuratnie i imię pan Krecpiwnicki wyrzwał z oficynki, tak my z panem Marcinem i panią Dzikowską — hurmem —

do sieni i znajdujemy tego oto pana fizyliera i izdebki pułkownika stojące otworem.

Bem, który dotąd z filozoficzną pogodą czekał ubogiego, znośił zwiastowanie mu hiobowych wieści, zaniepokoili się widokiem strzeleckiego munduru.

— Posyłka ze sztabu? — zagadnął niepewnie.

— Ordynans z kancelaryi Rządu narodowego, panie pułkowniku.

Bem odebrał ze zdziwieniem podany mu papier, spojrzał na adres, złamał pieczęć. Rozkaz odręczny księcia Adama Czartoryskiego wzywał go do natychmiastowego stawienia się przed obliczem Rządu.

Pułkownik oczom nie wierzył, bo w pojęciu mu się nie mieściło, co odeń, ledwie od tygodnia mianowanego pułkownika, mógł chcieć aeropag władzy narodowej, że aż wśród nocy go powoływał. A może to pomyłka! — Nie, — napis dwukrotny i krom nazwiska, dodatek — „pułkownikowi byle gwardyjskiej baterii pozycyjnej“...

W niespełna półgodziny Bem znalazł się pod arkadami pałacu Radziwiłłowskiego.

Dawna rezydencja namiestnika, księcia Zajączka, powitała go słabo rozświetlonymi mrokami wielkiego, sklepionego przedsionka.

Pułkownik zameldował się do trzymającego wartę oficera.

Oficer stawiał się bez mitręgi i z całą służbistością i atencją pośpieszył zapewnić Bema, że nie tylko ma rozkaz powitania go, lecz i zawiadomienia natychmiast komendanta pałacu o jego przybyciu, ileż komendant uważa sobie za obowiązek złożenia mu powinnego honoru.

Bem, którego paliło niespodziewane wezwanie do księcia — prezesa Rządu, chciał do rzeczy przystąpić i dojść prawdy kiedy, o co i przed kim w istocie ma się prezentować, lecz oficer raz jeszcze wysumittował się uroczyście i zniknął w przejściu pod arkadami.

Pułkownik nie zdołał jeszcze wyrozumieć znaczenia tego niezwykłego przyjęcia, gdy już salutował go z uszanowaniem krępy, zamaszty major, w mundurze czwartego pułku strzelców konnych.

— Borodicz, do usług pana pułkownika! — zarekomendował się żwawo major.

— Rad wielce, ale daruj majorze, nie z mojej winy cię trudzę...

— Prawdziwy zaszczyt dla mnie!

— Tylko że co najmniej nie w porę! Lecz, co widzę, major w pełnym uniformie!

— Za honor sobie miałem...

— Zawstydzasz mnie, majorze! — Przybywam tu na wezwanie...

— Niech pan pułkownik raczy pozwolić ze mną... o tu, do tej sali...

— Ależ bo — protestował Bem, coraz bardziej onieśmielony uniżonością majora — ja tu, jak po ogień, dowiedzieć się, kiedy będę mógł stawić się...

— W tej chwili, panie pułkowniku. Dam znać na sesję...

— Jakto, więc Rząd narodowy obraduje, o tej porze?

— W pełnym komplecie. Właśnie pan minister — komisarz wojny dopiero co nadjechał i już zapytywał o pułkownika. Nie będąc pewnym, czyli pierwsza posyłka dobrze się sprawi, wyprowadził podporucznika, — minął się w drodze niezawodnie...

Tu major wspomnił coś o referendarzu Jelskim, zawiął się i pozostawił Bema samego.

Pułkownik, osłomiony tem całym przyjęciem a bardziej myślą, że czeka go stawiennictwo przed najwyższymi dostojnikami władzy, głowił się a bił z myślami, usiłując odgadnąć cel wezwania.

Może powołano go dla jakowejś artyleryjskiej sprawy? Może idzie o prowadzenie fabrykacji ogniów? — Może minister wojny chce odeń rozrachunku armat a może przygotowane dlań misję inspekcyjną? — A może, może czeka nań dowództwo jakiej wyprawy? Może na Wołyń go wysłać, iść w głąb, aby siły Dybicza rozproszyć, zaszachować i porażkę Dwernickiego powetować?

Bemowi od tej myśli aż krew zagrała. Gdyby mu pozwolono... Ośm armatek, dwa szwadrony strzelców i pułk mocnej, starego autoramentu piechoty, ale piechoty na wozach... aby piorunem zdążyć mogła! Do tego instruktorów kilkadziesiąt. Runął by, jak strzała, na Starą i Garwolin, zmrużył by chylkiem w okolicę Kocka i lasami dosięgł by Dubienki! — Cha, i zagrałby dopiero w chowanego! Żadnych parad, muzyk, tobołów, zawalidrogów! — Na szpicy, w rekonesansie, plutonik w rozsypkę idący, plutonik w kubraki chłopskie przebrany, by wojska nie zapowiadać, za plutonikiem tuż dwie armatki Orlikowskiego z obsługą conajchytreszą na odzodkowanie i zatoczenie. — Bez pukania przedwstępnej, bez machania ułańskimi chorągiewkami na dwie mile w okrag, bez festynów, przyjmowania

deputacyi, mów i wiwatowania! We wsi, w miasteczku, kwateruje nieprzyjaciół, — kartaczami go, wzmocnić ogień, — zawinąć w bok, wygarnąć tuż żelazem i dopiero, kiedy zamęt, puścić szwadroniki, piechotę, nowozaciężnego ochotnika na dokonanie, na zagarnięcie! Rad wojennych, swarów, paplaniny, gadaniny na owinięcie palca. Rozkaz jeden i koniec. Za naczelnika sztabu wystarczy mu w potrzebie Zarzycki podoficer lub pierwszy z brzegu kanonier od wycioru. Gejzamer, Pahlen, pójdą za nim w tropy, będą go oskrzydlać! Niech spróbują! Nie na siedzenie w kotle pójdzie! Ciasno mu będzie za Bugiem, za Prypecią, za Dniestrem przestworu do rozwijania się znajdzie.

Pułkownikowi oczy się zaskrzyły. Plan wyprawy całej coraz wyraźniej, coraz pełniej mu się układał, coraz tętszą dla siebie znajdował w umyśle Bema racyę.

Wyprawa na Litwę korpusiku Chłapowskiego była znakomitą posunięciem, — dobrem było i wysłanie Giełguda z Dembińskim, choć mniej, bo wynikłem z przymusu, z bitwy ostrołęckiej, z przegranej bitwy. Dembiński ubiegł pułkownika, — cha, mniejsza, niechże jego czy Chłapowskiego dowództwo sławę i zasługi weźmie. Ale Wołyń! Dwernicki nie poradził! Hm, bo znów nie z planu, nie z zamysłu się wysforował, jeno z konceptu Lelewela. Siedm tysięcy ludzi wywłóki blisko. Więc od razu o całe pięć zawiele! A potem, ułanami chciał Rydygiera straszyć! — Szarżować myślał na całą armię! Za Stoczek przypłacił Boremlem! Co innego pościg, atak na złamanie poszarpanego, zdemoralizowanego skrzydła a co innego przesadzanie kawalerją. Dwernicki miał armaty! Dwanaście na siedm tysięcy żołnierza. Głupstwo oczywiste. I jakie armaty! Takie, co liżą gorzej marudera, co ledwie bitwie zabasować raczą! A dalej Dwernicki śmiały oficer — ale płochy, fantazja go zawsze rozpierała a tu... tu trzeba zęby zacisnąć i pędzić bez tchu, bez spoczynku...

— Wszak pułkownikowi Bemowi mam honor...

Pułkownik zerwał się z krzesła.

Stał przed nim szczupły, chudy jegomość w perłowym surducie o twarzy ściągłej, wygolonej starannie.

— Tak panie.

— Jestem referendarz Jelski. Proszę niech pan pułkownik zajmie miejsce. Utrudził mi pana tem wezwaniem...

— Jako wojskowy, panie referendarzu...

— Rozumiem! Może tabaczkę!... To cała moja ratownica! Od wieczora jesteśmy na nogach! Znów taki dzień, że ani sobie dać rady! A wczoraj nie śniło się nikomu!

— Ważne sprawy...

— Okrutnie, okrutnie! Nadzwyczajne posiedzenie...

— Czy pan referendarz nie mógł by mnie objaśnić...

Jelski ujął pułkownika za rękę i uściśnął gorąco.

— Psyt — pułkowniku — cierpliwości! Dowiesz się za chwilę! Okrutnie się raduję, że go poznaję! Dystygnowałeś się pułkowniku dobrodzieju niestychanie, niestychanie! Książę-prezes... ale to tajemnica... sam jeździł do sztabu po odpis twego stanu służby! I pęknie się układa, — okrutnie. Powinszować!

— Pan referendarz doprawdy...

— Tylko *relata*, pułkowniku dobrodzieju... Jest to okoliczność szczególnie miła Rządowi narodowemu, bo potrzeba, bardzo nam potrzeba dowódców i to, mających zaufanie... a tem bardziej, gdy przewidywać trzeba zmiany pewne...

— Nie wiem, o jakich pan referendarz wspomina zmianach, — lecz z góry mogę mu deklarować, że, jako żołnierz nawykły do karności, na każdym stanowisku wypełnienie obowiązku mam za najwyższe zadanie.

Jelski aż przyklasnął.

— Okrutnie znakomicie! To właśnie pułkowniku dobrodzieju! W tem i jest niedostatek! Tu rząd, tam generalicja. Ówdzie minister a ówdzie naczelnik wojskowy. Ten rozkazuje i tamten. Jedno w tą — drugie w tamtą. I, panie, starcia, polityka i beczyność militarna! A tak! — Aha, o czem ja to nawiasem... Aha, pan pułkownik, nie powiem, że się skłania, lecz z ciekawości niewątpliwie zagląda do Honoratki?...

Bem skonfundował się.

— To jest bywam, a raczej bywałem, znam właścicielkę kawiarni z dawnych czasów...

— Pozwól, dobrodzieju. Miałem na myśli Honoratki, który, niezawodnie, ma dążyć do lepsze...

— Nie powiem.